

Jean VANIER

UBODZY ŹRÓDŁEM ŻYCIA DLA KOŚCIOŁA

Ci, których świat traktuje jako drażliwy problem i źródło niesamowitego bólu, a nawet śmierci; ci, których wielu wolałoby ukryć lub pozbyć się jako bezużytecznych, są dla nas uzdrawiającym źródłem życia.

Od prawie 25 lat żyję wśród ludzi umysłowo upośledzonych. Zaczęło się to w roku 1964, kiedy to przyjąłem do swojego domku w Trosly-Breuil, wiosce położonej na północ od Paryża, dwóch mężczyzn – Raphaela i Philippa. Przybyli oni z podparyskiego domu opieki, w którym zostali umieszczeni po śmierci swoich rodziców. Nie potrafili troszczyć się o siebie i jak wielu im podobnych, byli upośledzeni fizycznie i umysłowo. Byli więc biedni w wielu znaczeniach tego słowa. Z tej pierwszej wspólnoty powstało 90 następnych, rozrzuconych po całym świecie. Niektóre z nich są tak duże jak ta pierwsza położona na północ od Paryża, licząca 400 osób (z których połowa to umysłowo upośledzeni) mieszkających w licznych domkach w różnych wioskach. Inne są małe, jak na przykład wspólnota w Ouagadougou (Burkina Faso), w której przebywa około 30 osób. Wszystkie wspólnoty łączy ten sam duch i wizja. Tworzą one zespoły domów, w których upośledzeni umysłowo dzielą swój los z ludźmi powołanymi przez Boga do życia z nimi w tej nowej formie społecznego egzystowania.

W bliskim związku z działalnością „l'Arche” powstał ruch „Wiara i Światło” („Foi et Lumière”), który obecnie jednoczy ponad 750 trzydziestoposobowych wspólnot. Zrzeszają one ludzi upośledzonych umysłowo wraz z ich rodzinami i przyjaciółmi. Nie mieszkają wspólnie, ale spotykają się regularnie raz na miesiąc lub częściej, aby radować się życiem, umacniać przyjaźnie, wspierać się wzajemnie i rozwijać w miłości Chrystusa.

Czego nauczyłem się w tym obcowaniu i przyjaźni z ludźmi niedorozwiniętymi o człowieczeństwie, ubóstwie, ubogich oraz o Kościele i Chrystusie, tym właśnie chciałbym podzielić się z wami w tym artykule.

CIERPIENIE UBOGICH

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, gdy poznałem świat ludzi upośledzonych, było ich straszne cierpienie, a także cierpienie ich rodzin. Wstrząsającym przeżyciem jest zawsze odwiedzanie szpitali i przytułków,

gdzie setki mężczyzn, kobiet i dzieci drepcze w kółko, wielu z nich na wpół nagich siedzi beczynnie, niektórzy uderzają głowami o podłogę, a jeszcze inni zamknięci są w osobnych pomieszczeniach. Na świecie jest bardzo dużo takich miejsc. Obecnie jednak w wielu szpitalach i przytułkach bogatszych krajów panuje większa dbałość o warunki, często pacjenci znajdują w nich zatrudnienie i mają zorganizowany czas wolny. Trudno jednakże nazwać je prawdziwym „domem”. Ludzie tam przebywający czują się odrzuceni przez rodzinę. Czują żal do swych zdrowych braci i sióstr, którzy mogą zakładać rodziny, mieć dzieci i własny dom. Ludzie, którzy potrzebują więcej miłości, zwykle otrzymują jej mniej.

Mimo że w bogatszych krajach stworzono wiele szkół, warsztatów i mieszkań z myślą o ludziach upośledzonych i, ogólnie rzecz biorąc, są oni bardziej akceptowani, to faktem jest, że społeczeństwo w stosunku do nich żywi uczucie przemożnego strachu. Byłem zaskoczony tym, jak wiele dorastających dziewcząt w szkołach francuskich powiedziało mi, że nie zniosłoby myśli posiadania niedorozwiniętego dziecka. Wiele z nich byłoby gotowe przerwać ciążę, gdyby odkryły, że dziecko w ich łonie jest niedorozwinięte. Dla większości ludzi posiadanie potomstwa, które nie może rozwijać się tak jak inne dzieci, jest tragedią i źródłem bezustannego bólu. Żyjąc z ludźmi upośledzonymi zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, jak i z rozmiarów ich wewnętrznej udręki. Są oni nie tylko upośledzeni fizycznie i psychicznie, ale prawie wszyscy przeżywają prawdziwe męczarnie spowodowane odrzuceniem ich przez otoczenie lub nawet myślą, iż są inni niż oczekiwano. Wielu z nich od najmłodszych lat odczuwało, że stanowi źródło cierpienia rodziców. Byli świadkami łez i niepokoju swoich matek i ojców, którzy chodzili z nimi od lekarza do lekarza, z jednego badania na drugie. Nazywano ich „nienormalnymi”, „upośledzonymi”, „umysłowo niedorozwiniętymi”, co podkreślało negatywny wymiar ich istnienia. Niektórych opuszczono we wczesnym dzieciństwie umieszczając w szpitalach, gdzie być może otrzymali fachową pomoc, ale nie było tam nikogo, kto potrzymałby ich za rękę, pobawiłby się z nimi, kochałby ich i pokazał im piękno ukryte w ich słabościach.

Okropne cierpienie rodziców wydaje się przenosić na dziecko. Rodzice nie potrafią zrozumieć, dlaczego stało się to właśnie w ich rodzinie. Kiedy stają wobec rzeczywistości upośledzonego dziecka, w ich sercach rodzi się pytanie: kto jest winien. I podobnie jak apostołowie stojący przed ślepcem pod świątynią, tak i oni zastanawiają się, czy przypadkiem ich chore dziecko nie jest karą za ich grzechy. Kiedy rodzice nie mogą chodzić do kościoła, ponieważ ich dziecko robi zbyt dużo hałasu i zakłóca spokój innym, kiedy ksiądz odmawia dziecku udzielenia komunii św. – wówczas czują się odrzuceni przez Kościół i Boga. To wielkie osamotnienie rodzi poczucie winy i zwiększa tylko ich cierpienie.

Musimy pamiętać, że obecnie małe rodziny, szczególnie te, których sytuacja materialna zmusza matki do pracy zawodowej, napotykają wielkie trudności wychowując dziecko upośledzone. U samotnej kobiety bolesne odkrycie upośledzenia dziecka może spowodować stan przygnębiającego smutku, wewnętrznego bólu i depresji. Bez wsparcia przyjaciół, bez wianuszka pomocy kompetentnych i pełnych zrozumienia ludzi byłoby jej niezwykle trudno podolać kłopotom i nie popaść w stan przygnębienia i buntu. Nic więc dziwnego, że wiele kobiet porzuca swoje dzieci. Czyż bowiem akceptacja takiego potomstwa bez posiadania przyjaciół i zdrowego, dobrego życia rodzinnego jest obecnie możliwa w naszym nowoczesnym społeczeństwie?

Wiele ludzi nie zdaje sobie sprawy z cierpienia upośledzonych. Niektórzy wręcz sądzą, że nie doznają oni cierpienia, ponieważ nie potrafią rozumować, dyskutować i wykonywać wielu rzeczy. Wielu nie uświadamia sobie, że dziecko krótko po urodzeniu wie, czy jest kochane czy też nie. Jeśli spotyka się z miłością, zaznaje ukojenia i spokoju w ramionach matki. Wyczuwa ono miłość w reakcjach matki na jego płacz, w sposobie noszenia go na rękach, w drzeniu jej ciała i w tonie jej głosu. Jeśli zaś dziecko czuje, że nie jest kochane lub chciane, jeśli wyczuwa złość matki lub jej nieobecność, wtedy przeżywa strach, niepokój i samotność. A samotność ta szybko przechodzi w poczucie winy. „Jeśli nie jestem kochany, to dlatego, że nie potrafię kochać; do niczego się nie nadaję, jestem brudny, brzydki i zły”. To, z kolei, wytwarza u dziecka skrzywiony obraz samego siebie. Uczucie winy narasta w miarę, jak dziecko odczuwa w sobie nienawiść i bunt wobec matki i wobec każdego, i wszystkiego wokół. Może nawet chcieć skrzywdzić matkę lub rodzeństwo, które w jego oczach jest bardziej kochane. Dziecko próbuje czasem stłumić lub ukryć swoją złość, zazdrość, oburzenie i rozgoryczenie, gdy nie może sobie z nimi poradzić. Jednakże pozostają one zawsze w nim i ukryte w jego podświadomości wywierają wpływ na jego postępowanie.

Obecnie staje się coraz bardziej oczywisty fakt, że wielu młodych wkra-
cza na drogę przestępstwa, narkotyków i przemocy, ponieważ w dzieciństwie byli sami ofiarami przemocy i nie otrzymali od rodziców autentycznej miłości, tak potrzebnej do prawidłowego rozwoju. Osoby umysłowo upośledzone, nie obdarzane miłością i szacunkiem z powodu braku witalności nie stają się przestępcami w dosłownym tego słowa znaczeniu i nie szukają kompensacji w świecie narkotyków. Okazują oni swą agresywność lub ból wewnętrzny przez zamknięcie się w sobie, przez akty samookaleczenia lub inne nienormalne zachowania.

Nie wolno nam nigdy idealizować ludzi biednych, zaliczanych do marginesu społecznego i odrzucanych z powodu ich upośledzenia i antyspołecznego zachowania. W każdym z nich drzemie często złość, przygnębienie,

skrzywiony obraz samego siebie i okropne poczucie winy. Cierpią oni z powodu braku zaufania do samych siebie. Czują się odrzuceni przez społeczeństwo, Kościół i Boga. Są to przede wszystkim ludzie żyjący w bólu.

WEZWANIE DO WSPÓLNOTY DUCHOWEJ I SPOŁECZNEJ

To, co poruszyło mnie najbardziej, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem szpital i przytułek dla ludzi umysłowo upośledzonych, to okazywana przez nich tęsknota za przyjaźnią i miłością. Potrzeba ta jest tak przeraźliwa i domagająca się odzewu, gdyż wypływa z dna ich załamania i wewnętrznego bólu. Ci, którzy potrafili mówić, pytali mnie, kiedy ich znowu odwiedzę. Ci, którzy nie mogli się wysłowić, szukali rozpaczliwie za pomocą spojrzeń i całym sobą znaku lub gestu przyjaźni. Prawie każdy w ten czy inny sposób pytał mnie: „Czy mnie kochasz? Czy coś dla ciebie znaczę? Czy moje życie ma jakiś sens? Czy jestem coś warty?” Jednakże niektórzy z nich całkowicie wmówili sobie, iż są bezużyteczni i niezdolni do wzbudzenia miłości u innych. Chowali się po kątach, zakrywali twarz ze wstydu i z nienawiści do samych siebie, uciekali w świat marzeń, który wydawał się im bardziej bezpieczny niż świat ludzi i rzeczywistości. Jeszcze inni uderzali głowami o podłogę usiłując poprzez fizyczny ból złagodzić ogromne cierpienia wewnętrzne spowodowane udręką i poczuciem winy. Ale nawet oni chwilami manifestowali to samo pragnienie miłości, nawet jeśli czuli się jej całkowicie niegodni i niezdolni do jej przyjęcia.

Obecnie jestem coraz bardziej przekonany, iż pierwotna potrzeba miłości (z jej następstwami: lękiem przed odrzuceniem, samotnością i pogardą) jest podstawową potrzebą każdego człowieka, a nie tylko ludzi umysłowo upośledzonych. Wiele ludzi sądzi, że ich życie nie zasługuje na miłość. Rzucają się zatem jak szaleńcy w wir działalności, aby udowodnić swą wartość i aby zdobyć uznanie. Być kochanym jako osoba za to tylko, kim jestem, jest jednak czymś innym, niż bycie podziwianym za zasługi. Inni znowu szukają rozpaczliwie poczucia wspólnoty i miłości w powierzchownych znajomościach i w świecie seksu. Boją się przeraźliwie odpowiedzialności przed autentyczną miłością i stosunkami międzyludzkimi, które opierają się na wzajemnym szacunku i akceptacji drugiego człowieka z wszystkimi jego odmiennosciami.

Mieszkając z Raphaelem, Philippem i im podobnymi zacząłem bardziej dostrzegać to, że pragnęli oni przyjaźni i kręgu bliskich im osób we wspólnocie oraz wewnętrznej łączności z nimi bardziej nawet niż sukcesów w pracy i spełnienia swych zamierzeń. A właśnie ta wspólnota duchowa rodzi się poprzez zaakceptowanie ich i miłość do nich za to, jakimi są. Kochać nie oznacza robić rzeczy za kogoś. Czyniąc tak często krzywdzimy ludzi, gdyż pokazujemy im, iż nie są zdolni do samodzielnej działalności. Kochać ludzi oznacza radować się ich obecnością, zawierzać im i odkrywać w nich

ich piękno i wartości oraz światło prawdy, które w nich żyje. Oznacza również pomagać ludziom w rozwoju pełnego człowieczeństwa obejmującego ich wszystkie potencjalne umiejętności. Jedynie w ten sposób możemy stopniowo i po długim czasie przywrócić ludziom właściwy obraz samych siebie, ich wiarę w siebie oraz spokój i radość płynące z przekonania, iż są kochani.

Dlatego też zacząłem rozumieć, że wspólnota duchowa to serce Kościoła i cały Kościół, ponieważ jest ona czymś najgłębszym w sercu człowieka. Daleka jest od miłości zaborczej, która trzyma się kurczowo innej miłości, aby uspokoić i zagłuszyć własny niepokój i samotność. Wspólnota duchowa natomiast to głęboka świadomość obopólnego należenia i obecności, w której druga osoba otoczona jest szacunkiem za jej wyjątkowość, wolność, talenty i rozwój. Przynosi ona pokój i uczucie bezpieczeństwa. Należy do darów Boga. Oparta jest na wzajemnej obecności i zaufaniu. Oznacza obdarowywanie drugiego człowieka przestrzenią, afirmowanie i zachęcanie go do rozwoju.

Ponieważ spędziłem wiele lat w marynarce wojennej, a następnie pracowałem nad doktoratem z filozofii, łatwiej mi było dążyć do kontroli nad innymi, do robienia rzeczy za innych, do wydajnej pracy lub do przebywania w świecie idei oddalonym od ludzkich potrzeb i wymagań, niż do życia we wspólnocie duchowej z ludźmi. Lecz zawsze istniała we mnie ta potrzeba łączności z innymi. Pragnąłem, abym i ja był kochany bardziej za to, kim jestem, niż za to, co robię; tęskniłem za życiem wśród prostych ludzi jako ich brat i przyjaciel. Oznaczało to jednak gotowość znoszenia porażek i otwartość samego siebie wobec innych. Było to dla mnie trudne z powodu własnej dumy oraz potrzeby odczuwania wyższości, a niekiedy niższości wobec innych, bardziej niż gotowości na współpartnerstwo. Oznaczało to także, że musiałem znaleźć czas dla każdego, wysłuchać jego głosu samotności, dojrzeć jego piękno i podążać zgodnie z jego rytmem i tempem. Przez tyle lat byłem przekonany, że aby zdobywać laury, trzeba być lepszym od innych. Uczynność, a nawet poświęcenie oraz szukanie podświadomie religijnego poklasku sprawia mniej trudności niż życie wspólnie z ludźmi biednymi, niekulturalnymi, niezdolnymi do ciekawych rozmów. Łatwiej było mi przemawiać na cele dobroczynne, niż grać w domino z osobą upośledzoną. W czasie, gdy przebywałem z tymi ludźmi, uczyłem się wiele o ich, a także o własnych najgłębszych potrzebach, o miłości i, oczywiście, o Dobrej Nowinie, która ją nam przekazuje. Stawałem się coraz bardziej świadomy walki toczącej się w moim sercu pomiędzy ewangelicznymi wartościami pokory i małości, a także przebaczenia, miłości i służby wobec innych, a małostkowością, pokorą i innymi wartościami, które prowadzą do „wielkości”, wiedzy, sukcesu, władzy, bogactwa i potrzeby zwyciężania.

W rzeczy samej, obecność i pragnienia tych maluczkich i okaleczonych ludzi objawiły mi piękno duchowej wspólnoty, ale także trudności życia nią. Właśnie ta walka toczona w moim sercu ukazała mi własne znieczulenie i porażenie wieloma rodzajami lęków, których wcześniej nie byłem w stanie rozpoznać i które zamykały mnie przed innymi: a więc obawy przed cierpieniem, odrzuceniem i lekceważeniem, obawy przed utratą reputacji, a nawet lękiem przed miłością i zaangażowaniem, które może ograniczyć wolność. Odkryłem także w bolesnych okolicznościach ogrom niepokoju tkwiącego głęboko we mnie i jego nie kontrolowane powiązania ze stanami lęku. Niepokój ten mógł spowodować wybuch wielu reakcji, o które sobie wcześniej nie podejrzewałem: gniewu, a nawet nienawiści do ludzi słabszych, domagających się ode mnie rzeczy niemożliwych do spełnienia, a przez to odslaniających we mnie bezradność, gniew i nieczułe serce.

Kiedy rozpoczynamy wspólne życie z biednymi, stajemy się bardziej świadomi własnego ubóstwa. Filozofia, duchowa wizja i terapia ruchu „l'Arche” wymaga przebywania z ludźmi upośledzonymi bardziej niż udzielania im pomocy. Chodzi tu o stworzenie wraz z nimi rodziny, o życie we wspólnocie. Chodzi o stworzenie warunków porozumienia istotniejszych niż udostępnienie im naszej wiedzy i techniki. Nie znaczy to, iż wiedza i technika nie są ważne. Przeciwnie. Jednakże rzeczą ważniejszą, stanowiącą podstawę rozwoju człowieka, jest to, aby ludzie upośledzeni przekonali się, że są doceniani i kochani, że należą do rodziny osób prawdziwie się kochających i oddanych sobie, w której mogą wykazać swoje wyjątkowe umiejętności. Potrzebują oni tego podstawowego poczucia bezpieczeństwa i uznania, aby móc się rozwijać i stawać.

To wszystko brzmi raczej abstrakcyjnie, ale w istocie, w ruchu „l'Arche” poddawane jest to nieustannej weryfikacji. Jane przybyła do nas ze szpitala w stanie ogromnego udręczenia i samookaleczenia. Czuła się niekochana, niechciana, odrzucona, brudna i zła. Obecnie jest piękną i pogodną dziewczyną, mimo swego ograniczenia i słabości, mimo poważnego upośledzenia i niekiedy pojawiających się napadów złości. Jane wie, że jest kochana. Może zaufać innym i wobec tego czuje się po prostu bezpieczna. Z jej wnętrza wypływa pewien spokój. Nie widać u niej spięcia, zatrwożenia i strachu. Podobnie rzecz ma się z innymi. Nie możemy uzdrowić ich martwych komórek mózgowych ani też przywrócić im wzroku, ale możemy zagoić ich rozdarte i udręczone serca. Możemy pomóc im w pogodzeniu się ze sobą i odnalezieniu ich własnego piękna i wartości istniejących w nich mimo upośledzenia i kalectwa. Możemy także pomóc im ujawnić zdolności, sens życia oraz ich miejsce w Kościele, świecie i w Sercu Boga.

Kim trzeba być, aby zaakceptować przyjaźń z naszą Jane? Kto zechce zejść z drogi sukcesów i kariery, aby spotkać się z biednymi i żyć razem z nimi? Oto podstawowe pytania ruchu „l'Arche”. Wymaga to walki z falą ziemskich wartości: powodzenia, niezależności, współzawodnictwa, walki z

pogardą dla słabych i biednych. Wymaga to okazywania im otwartości i szczerości. A to jest niemożliwe bez przemiany Chrystusowej i bez otrzymania miłości, która płynie z Serca Boga. Zostać bratem lub siostrą każdego człowieka i umyć jego stopy, bez względu na jego kalectwo i ograniczenie, może tylko ten, kto posiada dostęp do źródła życia i miłości, kto ucieka się do Serca Boga, Ojca wszystkich kobiet i mężczyzn, kochającego każdą osobę bezinteresowną miłością, i ten, kto przepojony jest Słowem Bożym i Ciałem Chrystusa. Nie można zstąpić z wyżyn kariery i sukcesu na spotkanie z ubogimi bez podążania za Chrystusem, który zawsze pragnął być ostatnim. Cała tajemnica wcielenia właśnie na tym polega: Słowo stało się Ciałem, Słońce Sprawiedliwości skryło się w ziemskiej glinie. Św. Paweł w Liście do Filipian mówi, że „On, istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi” (2, 6-7). Co więcej, zgodził się być wzgardzonym i odrzuconym. Czyż nie do takiego postępowania zaprasza swych wyznawców Jezus Chrystus? Czyż nie wzywa nas, abyśmy zeszli z piedestału ludzkiej chwały i kroczyli w pokorze z biednymi i nisko urodzonymi tej ziemi, aby im służyć i budować z nimi wspólnotę?

Wołanie o wspólnotę, które usłyszałem u Raphaela, Philippa i u wielu innych, obudziło moją własną potrzebę wspólnoty, lecz także zrodziło ból, lęk i bezradność w obliczu własnego egoizmu i twardości serca. Ubóstwo biednych ujawniło moje własne ubóstwo. Ich wołanie obudziło moje i każało mi zwrócić się ku Chrystusowi. „Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie, niech przyjdzie do Mnie i pije!” (J 7, 37). „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11, 28). To wtedy zrozumiałem, jak bardzo Chrystus oczekuje na nasze wołanie i tęsknotę za Nim, na przemianę w Nim tak, abyśmy Go pokochali, jak On nas kocha. Wołanie o miłość w sercu Raphaela jest tym samym wołaniem o miłość we mnie, lecz dawniej nauczyłem się ukrywać to pragnienie. A tylko Bóg może dać nam tę miłość; miłość, która wypełnia nas i odświeża; miłość, która zmywa winę i daje nową siłę; miłość, która zmienia nas i przynosi światło i jasność; miłość, która jest cichym i łagodnym uniesieniem, radością wspólnoty, spełnieniem pokoju i pieśnią dziękczynną; miłość, która wymaga ofiary i złożenia ofiary z własnego życia.

Tajemnica Chrystusa polega na prowadzeniu nas poprzez wspólnotę z Nim ku wspólnocie z Ojcem. Wzywa nas do uczestniczenia w istocie i życiu Boga, we wspólnocie i darze, które łączą Ojca i Syna. Chrystus pragnie, aby Ojciec wypełnił nasze serca w taki sposób, ażeby miłość, którą umiłował Syna, była w nas (por. J 17, 26) i On był w nas. Chrystus modli się o to, abyśmy my, Jego uczniowie, doświadczyli bogactwa i spełnienia jedności między nami, tak, abyśmy byli jednym, tak jak On i Ojciec są Jednym. Zanim zacząłem przebywać z ludźmi upośledzonymi, miałem oka-

zję współpracować z innymi, lecz rzadko wśród nich doświadczałem poczucia wspólnoty. Poprzez swe wezwanie ludzie upośledzeni z wrodzoną sobie delikatnością wprowadzili mnie w świat wspólnoty, która jest prawdziwym darem Boga, darem Ducha Świętego. Wezwanie ludzi upośledzonych do wspólnoty, zamiast tylko wciągnąć mnie do pożytecznej pracy społecznej, która mogłaby odgradzić mnie od modlitwy i życia w Bogu – zbliżyło mnie do Boga. Połączyło we mnie potrzebę modlitwy z potrzebą działania i obdarzyło doświadczeniem jedności miłości do Chrystusa i miłości do bliźnich. „Ubi caritas et amor Deus ibi est”. To, co oddziela mnie od Boga, to myśl o porzuceniu ubogich z ich wołaniem o wspólnotę z obawy o poniesienie konsekwencji i niesprostanie czekającym zadaniom i oczekiwaniom. Oczywiście, aby należycie odpowiedzieć na to wezwanie, muszę spożywać Ciało Chrystusa i być w wewnętrznej łączności z Nim i Jego Ojcem, który jest sercem każdej modlitwy. Muszę odnaleźć taki sposób i rytm życia, który zapewni mi równowagę i uchroni od straty energii i wyczerpania.

UBODZY WEZWANI DO ŚWIĘTOŚCI I PEŁNI

W czasie wielu lat spędzonych w ruchu „l’Arche” odkryłem, że nasi podopieczni rzeczywiście wezwani są do tego, by byli prorokami i świętymi. W sprawach ziemskich prawie nic nie znaczą. Nie mogą uczęszczać do uniwersytetów i innych uczelni, prawdopodobnie nie osiągną sukcesów w sztuce, nauce, filozofii lub literaturze. Lecz ich serca, zawsze otwarte na miłość i duchową wspólnotę, są także szeroko zwrócone ku Bogu, który sam jest miłością i wspólnotą. W tym zawiera się ich własne piękno i chwała, a także znak piękna i chwały Stwórcy, który nie objawia się mądrym i utalentowanym, ale maluczkim (por. Łk 9). Wybiera więc – według ludzkich miar – niedorozwiniętych i słabych, aby zawstydzić mądrych i silnych. Wybiera nisko urodzonych i najbardziej wzgardzonych (por. 1 Kor 1, 26). „Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych” (Łk 1, 52). My wszyscy zaangażowani w ruch „l’Arche” zostaliśmy wezwani, by głosić Dobrą Nowinę ubogim. Szybko jednak przekonujemy się, iż ubodzy także zostali wezwani, aby nas ewangelizować i aby objawiać nam w bardzo szczególny sposób istotę Dobrej Nowiny. Ludzie zamożni, dufni w swą wiedzę, umiejętności, bogactwo, przyjaciół i władzę zdają się tracić to, co najważniejsze – to znaczy wspólnotę w Duchu Świętym z ubogimi, słabymi i z naszym Ojcem. Tracą tę radość miłości i pokoju. Ubóstwo biednych może otworzyć nas na ten dar, jeśli zawierzemy i zaufamy, lecz może również zamknąć nas w gniewie, depresji i buncie, jeśli nie posiadamy nadziei wiary i jeśli odrzucimy dar duchowej wspólnoty.

Wielu upośledzonych potrzebuje pomocy, aby przejść przez próg świata wiary. Jednakże po jego przekroczeniu stają się w jakiś tajemniczy sposób nauczycielami wiary dla swoich opiekunów. Wiara ich jest prosta i przej-

rzysta. Żyją i wierzą całą prostotą swych serc, bez filtrowania wszystkiego przez rozum, piękne idee i opinie innych. Dla nich Jezus jest rzeczywiście przyjacielem. Peter cierpi na syndrom Downa. Zapytany o swoją modlitwę powiedział: „Słucham tego, co ma mi do powiedzenia Jezus”. Kiedy zapytaliśmy go, co mu Jezus mówi, odpowiedział: „Jezus mówi – Ty jesteś moim umiłowanym synem”. Iluż mądrych i wykształconych chrześcijan odważyłoby się tak wyrazić?

Kiedy słucham ludzi upośledzonych mówiących o Chrystusie, uświadamiam sobie, iż musimy wszyscy stać się maluczkimi, aby wejść do Królestwa i aby pozwolić mocy Ducha być w nas i nas przenikać. Dla bogatych, silnych i sprytnych, błyszczących wiedzą i osiągnięciami, także na polu religijnym – nie ma miejsca w Królestwie Niebieskim. To ważne, szczególnie dla mnie jako autora wielu książek zapraszanego bardzo często do wygłaszania nauk rekolekcyjnych. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw, które mi tu grożą. Istnieje bowiem pewien rodzaj pokusy posiadania władzy i poklasku religijnego, której nie można ulec. Jednocześnie doceniam wagę teologii i wiem, iż jednym z darów, które otrzymałem, jest głoszenie Dobrej Nowiny o Chrystusie oraz o pięknie ludzi upośledzonych i ich bliskości z Bogiem, mimo iż nie zawsze żyję prostotą ich miłości i zjednoczeniem z Chrystusem. Oni posiadają dar takiego życia. Ja posiadam swój własny. Muszę być zawsze gotowy do odpowiadania na wezwanie Chrystusa i Jego polecenia, a nie na podążanie za własnymi zachciankami i planami.

Z drugiej strony, nie mam zamiaru idealizować ludzi, z którymi przebywam. Nie wszyscy są świętymi. Oni także borykają się ze swoją wiarą, z pogodzeniem się z własnym upośledzeniem i ograniczeniami i z pokonaniem okresów załamania, złości, a czasami buntu. Nieraz ogarnia ich złość, ponieważ nie mogą założyć rodzin i żyć jak inni. Potrzebują więc pomocy. Potrzebują pokarmu Słowa Bożego i sakramentów. Potrzebują opieki światłych ludzi wzywających ich do pełnego życia w przyjaźni z Chrystusem. Jednakże w jakiś sposób ich bolączki i trudności, system obronny, ich własne ja i wewnętrzne bariery mniej są uciążliwe niż bogatych, mądrych, wykształconych i wielkich tego świata. Ich własne ułomności przybliżają ich bardziej do Chrystusowych Błogosławieństw. Dobra Nowina wydaje się być zawsze prawdziwie dobrą dla biedaków, lecz dla bogatych oznacza częściowo przykrą, gdyż jeśli chcą pójść za Chrystusem – tak jak bogaty młodzieniec z Ewangelii, zmuszeni są do porzucenia swych bogactw i rezygnacji z poczucia bezpieczeństwa. Ludzie światowi pragnący zawsze znaleźć się na pierwszym miejscu z trudnością dostrzegają, że Chrystus wybrał dla siebie miejsce ostatnie. Lecz ktoś, kto należy do ostatnich, z radością odkrywa, iż jest to także miejsce Chrystusa!

W wielu przypadkach dostrzegam, że młodzi ludzie pracujący w naszych wspólnotach są bardziej nieszczęśliwi niż ludzie upośledzeni, którym

przybyli służyć. Po kilku latach pobytu w „l'Arche” nasi podopieczni znajdują pewien spokój ducha, wewnętrzną dojrzałość oraz świadomość swej drogi. Młodzi mimo wszystkich swych możliwości wyboru czują się zagubieni. Istnieje wielki rozdźwięk między ich umiejętnościami intelektualnymi a ich życiem emocjonalnym. Lecz dzieląc swe życie z ludźmi upośledzonymi, odnajdują swą wiarę i zaczynają rozwijać się ku pełni.

UBODZY – ŹRÓDŁEM ŻYCIA

Po wielu latach spędzonych w „l'Arche” mogę teraz wyznać, że ci, z którymi przebywałem, byli dla mnie niezwykłym źródłem życia i oczyszczenia. Pomagali mi dostrzec bardziej wyraźnie, kim jestem i jakie są moje najważniejsze potrzeby. Ukazali mi prawdziwe znaczenie Ewangelii, a także – nie waham się tego powiedzieć – teologii. Zaprowadzili mnie do Serca Chrystusowego i pokazali sens Jego miłości. Nauczyli mnie również, czym jest moje własne człowieczeństwo. Gdyby nie oni, mógłbym tak łatwo zdusić w sobie wezwanie do wspólnoty i miłości i wejść w świat wydajności, współzawodnictwa i wiedzy, dążąc do zdobywania nagród w świecie mądrych i zapobiegliwych. A wtedy musiałbym zamaskować moje wewnętrzne ubóstwo, nie chciałbym dostrzegać mego wewnętrznego rozdarcia, lęku, dumy, grzeszności, ciemności, obaw, uprzedzeń, a nawet byłbym zmuszony do nienawiści, pozostając ukrytym za zdobyczami tego świata.

Kiedy o tym piszę, zdaję sobie sprawę, iż wszystko to może wydawać się czymś absurdalnym i paradoksalnym. Ci, których świat traktuje jako drażliwy problem i źródło niesamowitego bólu, a nawet śmierci, ci, których wielu wolałoby ukryć lub pozbyć się jako bezużytecznych, są dla nas w „l'Arche” uzdrawiającym źródłem życia. Niektórzy ludzie, niektórzy rodzice tak bardzo cierpią żyjąc razem z upośledzonym dzieckiem, ponieważ często ich osamotnienie nie pozwala im na opowiedzenie im o naszej radości. Czuli by się skrzywdzeni, a być może nawet winni. Niewiele osób nawet wierzących jest w stanie uwierzyć temu, co mamy im do powiedzenia. Wyglądamy na marzycieli, którzy ubarwiają pięknymi kolorami ciemność, smutek i bezsens naszych działań i którzy szukają werbalnej kompensacji dla własnej marginalności.

Oczywiście nie potrafię zdefiniować własnych, ukrytych pobudek wpływających z nie uświadomionego bólu, poczucia klęski i nieprzydatności. Mam prawo jednakże powiedzieć, iż wielu członków naszych wspólnot rzeczywiście spotyka Chrystusa i wzrasta w miłości. Pragniemy żyć w Chrystusie, w Jego miłości i pokorze. Myślę, że jesteśmy świadomi wszystkich istniejących w nas sił ciemnych, kłamstw i zła oraz całej rozbieżności między słowami, które głosimy, a rzeczywistością, w której żyjemy.

W wielu krajach obecność ludzi upośledzonych jawi się jako tragedia. Coraz więcej ludzi uważa, że powinni być oni uśmierceni w okresie ciąży. A ja głoszę, iż są oni źródłem życia. Czyż nie na tym polega paradoks

Ewangelii? Chrystus wzywa nas do życia w szczęśliwości, lecz nie wśród pierwszych. Potępia bogatych i potężnych. Podnosi na duchu skruszonego celnika i zawstydzia próżnych faryzeuszy. Okazuje zmiłowanie dla syna marnotrawnego i jest zagniewany zachowaniem jego starszego brata. Chrystus wzywa nas, abyśmy byli podobni do małych dzieci, które ufają, przebaczą i kochają nieprzyjaciół. Wzywa nas do niemożliwego i do ubóstwa, wierności w miłości, a niektórych do celibatu, aby osiągnąć Królestwo. Wszystko to wydaje się być tak sprzeczne ze sobą i tak absurdalne. Lecz czyż św. Paweł także nie zdawał sobie sprawy z szaleństwa sensu Krzyża? Taka jest właśnie mądrość Boża (por. 1 Kor 1, 21-25). Nic też więc dziwnego, że środki masowego przekazu nie mogą sobie poradzić z posłaniem chrześcijaństwa, gdyż w pewien sposób jest ono absurdalne. A jednak dla tych, którzy go doświadczyli, oznacza życie oraz źródło wybawienia i pełni.

W ruchu „l'Arche” stykamy się na co dzień z tą głoszoną przez nas absurdalnością. Ludzie upośledzeni umysłowo są jak Chrystus. Porównać ich można do kamienia odrzuconego przez budowniczych, który stał się kamieniem węgielnym Kościoła. Dotyczy to nie tylko ludzi upośledzonych, ale wszystkich ludzi społecznego marginesu: wszystkich przepojonych bólem odrzucenia i samotności, wszystkich budzących niepokój wśród dobrze urządzonego społeczeństwa, a także – nie waham się powiedzieć – w Kościele. To właśnie świat ubogich wyciąga ręce po pomoc do społeczeństwa i Kościoła. Ale czy prośba ich zawsze jest wysłuchana? Lecz cóż pocznemy, jeśli naprawdę Chrystus jest tym głodnym i spragnionym, nieodzianym, chorym i uwięzionym, kimś dziwnym i nieznanym? Jeśli Bóg ukryty jest nie tylko we wspaniałościach niebios i stworzenia, w cudach nauki, ale także w błocie, brudzie i ubóstwie człowieczym, oczekując tam, aby nas wszystkich odnowić? Cóż wtedy, jeśli to wszystko prawda?

Nigdy przedtem nie odczuwałem tak silnie tego paradoksu przesłania Chrystusowego jak wtedy, gdy trzymałem w ramionach Erica – małego chłopca przyjętego z pobliskiego szpitala psychiatrycznego. Eric był głuchoniemy i niewidomy. Nie potrafił sam chodzić i jeść, cierpiał na poważne uszkodzenie mózgu i prawdopodobnie pewien rodzaj psychozy, a jednak był on Chrystusem. „Kto przyjmie to dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje – powiedział Jezus – a kto Mnie przyjmie, przyjmuje Tego, który Mnie posłał” (Łk 9, 48-49). „Co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Eric jest świątynią Ducha Świętego. Tylko poprzez akt wiary mogę głosić ten oczywisty absurd. Także nedorzeczne wydaje się twierdzenie, iż w jakiś sposób Eric uzdrowił mnie, przywiódł do większej pełni i zaprowadził bliżej Ojca. Głoszę to jednak i wiem, że jest to prawda. I sądzę, że Maryja, bardziej przepiętna Duchem Świętym niż my w „l'Arche”, odczuwała ten sam rodzaj absurdu, gdy trzymała małego Jezusa na rękach i wypowiadała słowa: „Pan mój i Bóg mój”, „Mój Syn umiłowany”.

Żyjemy obecnie w wyjątkowo szalonym i niebezpiecznym świecie. Rozwinęliśmy potężne i niebezpieczne bronie i jesteśmy w stanie zniszczyć całe życie na ziemi. Żyjemy w świecie, w którym ludzie i społeczeństwa dzielą uprzedzenie, nienawiść i pogarda. Nie chcemy dzielić się z innymi, budując wokół siebie olbrzymie bariery. Żyjemy w świecie, w którym dużo mówimy o solidarności i prawach każdego człowieka, ale jednocześnie ukrywamy się za zamkniętymi drzwiami samolubstwa i bogactwa. Zaprawdę, żyjemy w szalonym świecie, w którym bogaci jeszcze bardziej się bogacą, a biedni stają się jeszcze biedniejsi, w świecie, który odrzuca biednych i słabych, gdyż zakłócają oni porządek, i gdzie nienawiść i egoizm wydają się pokonywać i skrywać potęgę miłości. Ale czyż nie jest prawdą, że Chrystus zstąpił na świat, aby objawić nam inne szaleństwo: szaleństwo miłości, szaleństwo biednych jako źródło życia i zbawienia? Jeśli wstąpimy na drogę wspólnoty z nimi, to połączymy się z tym źródłem życia i będziemy zmierzać ku uzdrowieniu i zbawieniu. Takie jest szaleństwo naszej wiary i Dobrej Nowiny Chrystusa.

Tłum. *Andrzej Jaroszyński*